

Znikam we wnętrzu betonowego molocha. Stalowa brama zamyka się za mną z donośnym hukiem, by otworzyć się znów za dwanaście godzin, gdy skończę pracę. Do tej pory pozostaję zamknięty w tej pieprzonej ciemnoszarej bryle pozbawionej okien. Z każdym wschodem słońca nienawidzę swego życia coraz bardziej. Ale wróćmy do początku – do dnia, w którym zaszły zmiany.

Mnóstwo. Poważnych. Zmian.

Wraz z nadejściem 2017 roku zjednoczona Europa przestaje istnieć. Granice zostają zamknięte, jakiekolwiek relacje międzynarodowe stają się fikcją, a w powietrzu wisi groźba wybuchu największej wojny w dziejach. Demokracja jest tylko wspomnieniem dawnych czasów, a autorytarna władza szuka oszczędności we wszystkich możliwych miejscach, rozpaczliwie próbując podreperować zrujnowany doszczętnie budżet państwa. Półki w sklepach zaczynają świecić pustkami, na ulicach coraz częściej można dostrzec wojskowe pojazdy.

Jeden wielki burdel. Jestem pewien, że tak będzie wyglądać przepowiadany od stuleci koniec świata – żadnych trzęsień ziemi, powodzi, potoków lawy i deszczy meteorytów, jak w tych efekciarskich filmach. Nie. Po prostu ludzie przeciwko ludziom. Bezmyślnie wytłuczemy się nawzajem.

Ogarnia mnie smutek na sam widok tych wszystkich osób, które mijam codziennie na ulicy. Mierzi mnie ich nieświadomość, ich ślepa wiara w iluzję bezpieczeństwa, którą roztoczył nad nami rząd. Odnoszę wrażenie, jakbym był jedynym człowiekiem zdającym sobie sprawę z tego, jak głęboko jesteśmy pogrążeni w gównie.

A jednak – sam nie wiem czemu, chyba wyłącznie po to, by nie zwariować – wciąż zachowuję pozory i żyję, jakby nie wisiało nad nami widmo rychłej globalnej rzezi. Jakbym wciąż miał nadzieję, że wszystko kiedyś wróci do normy. Mój upośledzony instynkt samozachowawczy, wbrew mojej woli nadal zmusza mnie do wstawania każdego dnia rano.

Jakbym miał choć jeden powód, by to robić.

Zaledwie kilka miesięcy temu skończyłem szkołę i zrezygnowałem ze studiów, by zostać zawodowym muzykiem. Chole-
ra, naprawdę miałem talent, widziałem to wyraźnie. Nie tylko ja zresztą. Rozwijałem się błyskawicznie, spektakularny sukces wydawał się być wyłącznie kwestią czasu. Miałem plany, cele, marzenia...

Wszystko trafił szlag, gdy pewnego mroźnego poranka obudziłem się w nowej rzeczywistości. Z braku alternatywy – co prawda miałem do wyboru śmierć z głodu, ale wtedy ten scenariusz nie wydawał się jeszcze aż tak kuszący – musiałem zatrudnić się w Fabryce. Problem w tym, że dopiero potem dowiedziałem się, iż zarówno ten, jak i wiele innych zakładów przeszło ostatnimi czasy bardzo... Hmm, pozwolę sobie powtórzyć.

Poważne zmiany.

O których przeciętny obywatel nie wie, a o których pracownicy nie mogą – choć najczęściej w ogóle nie chcą – mówić. Na moje nieszczęście, gdyż teraz, jako jeden z tysięcy elementów tego chorego systemu, jestem związany z Fabryką aż do śmierci. Więc śmiem przypuszczać, że raczej krótko.

Jestem odpowiedzialny za transport wewnątrzzakładowy. Codziennie, punktualnie o szóstej rano przechodzę przez bramę, żegnając się na cały dzień ze światem zewnętrznym. Podążam długimi korytarzami. Jaskrawe światło odbite od białej powierzchni ścian i sufitu sprawia, że mrużę oczy, idąc niemalże na ślepo. Odgłosy roboczych butów uderzających o zimny beton wypełniają echem sterylną przestrzeń.

Chwilę potem melduję się na stanowisku. Wraz z dwoma innymi pracownikami, nie zwlekając, chwytam za łańcuchy przymocowane do wielkiej, stalowej klatki. Ciągniemy ją do miejsca, skąd pobieramy surowiec. W niekończących się ko-

rytarzach rozbrzmiewa skrzypienie kółek, dołączając do jednostajnego rytmu naszych kroków. Milczymy, jak zwykle. Nawet nie wiem, jak mają na imię ludzie, z którymi przyszło mi pracować. Tutaj każdy odzywa się wyłącznie wtedy, gdy musi i zawsze są to pomruki i półsłówka. Nie dziwi mnie to – w obliczu horroru rozgrywającego się na naszych oczach nikt nie miałby najmniejszej ochoty na rozmowy. Pomijając fakt, że w tej sytuacji beztrioskie pogawędki wydają się być co najmniej nieestosowne.

Nie przeszkadza mi ten stan rzeczy. Nie chcę kontaktu z ludźmi. Chcę zostać sam na sam ze swymi myślami. Chcę wma-
wiać sobie, że w gruncie rzeczy nie robię niczego złego. Chcę wierzyć, że przecież to tylko praca.

A czasem – tylko czasem – chcę się, kurwa, zabić. Ale tylko czasem...

Docieramy na miejsce. Wchodzimy na teren eliptycznej hali, której wewnątrz przypomina ogromną oborę pozbawioną zagrod. Ale nie hodujemy tutaj zwierząt. Nie do końca.

Smród jest nie do zniesienia. Pokryte wielotygodniowym brudem oraz gnijącymi ranami stworzenia wraz z porozrzucanymi wokół dziesiątkami zwłok w różnym stopniu rozkładu stanowią mieszkankę zabójczą dla zmysłu powonienia, do której nie sposób przywyknąć. Czuję, jak moim żołądkiem szarpie odruch wymiotny – gdybym zjadł rano śniadanie, właśnie wylądowałoby u moich stóp. Na szczęście już od bardzo dawna jedzenie jest dla mnie wyłącznie przykrym obowiązkiem.

Tak charakterystyczną dla korytarzy ciszę zastępuje niewyobrażalna różnorodność dźwięków. Wszystkie pomruki, jęki, warknięcia mieszają się w jeden wielki, obrzydliwy charkot. Pomimo wszechobecnego hałasu brzęk wypuszczanych z rąk łańcuchów sprawia, że wszystkie głowy zwracają się w naszą stronę.

Te ścierwa są na to wyczulone.

Setki zamglonych spojrzeń rejestrują obecność naszej milczącej trójki. Znaczna część z Nich szybko wraca do swoich spraw – snucia się wokół sennym krokiem, bezmyślnej kopulacji, pożerania martwych współtowarzyszy lub tarzania się po ziemi i rozdrapywania strupów, ociekających żółtozieloną, cuchnącą ropą.

Dostrzegam kilkoro, którzy na nasz widok podbiegają, wydając z siebie błagalny pisk, który już ani trochę nie przypomina płaczu. Nieszczęśnicy, których umysł przewrotnie zachował resztki świadomości. Nie zbliżają się jednak za bardzo. Metalowe pałki nabijane ćwiekami, które wiszą przymocowane do naszych pasów stanowią aż nazbyt wyraźne ostrzeżenie.

Nagle jeden z moich współpracowników ląduje na ziemi. Po raz pierwszy słyszę, jak z jego gardła wydobywa się coś więcej, aniżeli zdawkowe odpowiedzi. Męczyzna wydaje z siebie krzyk przerażenia, gdy ogromny skurwiel pojawia się znikąd i ląduje na jego klatce piersiowej. Obgryzione do gołej kości koniuszki palców sięgają ku nieosłoniętej materii uniformu szyi.

Reaguję błyskawicznie, przeklinając w duchu naszą nieuwagę. Pierwszy cios pałką trafia prosto w szeroko otwarte usta, rozbryzgując na boki ciekącą z nich mieszaninę krwi oraz pieniących się obficie strugi śliny. Słychać głośny trzask miażdżonej zuchwy. Drugie uderzenie rozłupuje czaszkę, ostatecznie unieszkodliwiając napastnika. Nad truchłem szybko zbiera się nieduża grupka i rozpoczyna walkę o leżące tu i ówdzie oślizgłe fragmenty mózgu.

Natychmiast nachodzi mnie myśl, czy nie należałoby o tym incydencie poinformować przełożonego. Aplikowany narkotyk ma za zadanie ograniczyć funkcjonowanie całego układu nerwowego do minimum. Skąd więc tak skrajnie agresywne zachowanie? Poza tym martwi mnie siła, jaką wykazało się to... Coś. Ich organizmy są przecież doszczętnie zniszczone. Owszem, czasem ich zachowanie przysparza nam kłopotów, ale nigdy nie stanowili żadnego poważnego zagrożenia. A z całą pewnością żadne z Nich nie jest w stanie tak sprawnie powalić dorosłego mężczyznę. Nie ma pierdolonej możliwości, by taka sytuacja miała miejsce. Coś tu jest, kurwa, nie tak!

Podaję dłoń leżącemu pracownikowi i pomagam mu wstać. Otrzepuje ubranie, mamrocząc słowa podziękowania. Strach szybko znika z jego twarzy, skryty za maską obojętności, jednak w jego oczach wciąż dostrzegam autentyczną wdzięcz-

ność. Ale również niepokój – ewidentnie w jego głowie kotłują się teraz te same myśli.

Obawy szybko schodzą na dalszy plan – obowiązki wzywają. Nie tracąc dłużej czasu, otwieramy klatkę. Kilkoro od razu do niej wchodzi – to ci piszcący, którzy podbiegli do nas, gdy tylko się pojawiliśmy; nieliczni, którzy zdają sobie sprawę z tego, dokąd ich zabieramy. Resztę musimy wyławiać z cuchnącego tłumu i wprowadzać do środka. Na szczęście żaden nie stawia najmniejszego oporu. Posłusznie wloką się za nami, gapiąc się tępo gdzieś w przestrzeń.

Kursujemy tak nieprzerwanie przez kilkanaście minut aż uznajemy, że klatka jest pełna. Krata jak zwykle nie chce się zamknąć – kopiemy więc w nią, ignorując wydobywające się ze skłębionej masy ciał chrząstki, do momentu aż się zatrzaśnie.

Ruszamy z powrotem.

Nasze ciała błyskawicznie pokrywa warstwa potu, szorstkie kombinezony nieprzyjemnie kleją się do skóry. Jednak dzisiaj nie jest to wyłącznie kwestia zmęczenia, Tamten incydent wstrząsnął nami bardziej, niż jesteśmy w stanie przyznać. Dociera do nas fakt, że coś naprawdę złego dzieje się w Fabryce. Narkotyk działa inaczej, niż zakładano. Jeśli jeden z Nich był w stanie zaatakować, to może inni także mogą być niebezpieczni?

A kilkadziesiąt tych skurwysynów znajduje się zaraz za naszymi plecami.

Ciasnota drażni Ich i stopniowo wybudza z apatii. Coraz głośniejsze jęki i piski wydawane przez tę żywą stertę gówna, którą musimy ciągnąć za sobą, doprowadzają mnie do szału. Ale nie ma się czego bać, przecież klatka wytrzyma Ich atak. Przynajmniej tak mi się wydaje – nigdy nie mieliśmy okazji tego sprawdzić.

Nagle Ich głosy zlewają się w jedno przeciągłe wycie, tworząc niespotykaną dotąd, przerażającą harmonię. Po chwili do mych uszu dociera także zgrzyt metalu.

Miałem rację – wydaje mi się.

Zatrzymuję się i wypuszczam z rąk śliskie ogniwa łańcucha. Sięgam po pałkę, po czym rzucam się w stronę klatki z dzikim wrzaskiem. Pozostali pracownicy stoją przez moment skonfundowani, po czym również chwytają za broń. Wznoszą bojowy okrzyk, idąc w moje ślady.

Machamy na oślep, uderzając w wystające między prętami, wijące się niczym wściekle żmije, kończyny. Miażdżymy kości nóg oraz wyciąganych w naszą stronę ramion. Gruchojemy palce zakończone popękkanymi paznokciami, znajdujące się niebezpiecznie blisko naszych twarzy. Wyprowadzamy pchnięcia, trafiając losowo w żebra, plecy i głowy. Po kilku chwilach wszyscy trzej opadamy z sił i siadamy na chłodnej betonowej posadzce. W korytarzu znów zapada przytłaczająca cisza, a my, wyczerpani, spoglądamy na siebie, walcząc o oddech. Wreszcie dostrzegamy na swych twarzach ulgę.

– Przynajmniej już się nie drą – rzucam, wstając mimo drżących kolan. – No, panowie, nie ma czasu. Do roboty.

Teraz droga do hali produkcyjnej zdaje się być niemożliwa do pokonania. Czas dłuży się niemiłosiernie, a wszystkie moje mięśnie płoną żywym ogniem. Z każdym krokiem oddycham coraz ciężiej, wzmaga się uporczywe klucie w boku. Ciężkie krople potu zbierają się na podbródku i kapią na podłogę. Męczyzna po mojej prawej wydaje z siebie niepokojące rżenie, jego twarz przybiera intensywnie czerwoną barwę, a na szyi dostrzegam siatkę pulsujących żył. Ten drugi wygląda dużo lepiej – sapie tylko z wysiłku, raz po raz spluwając flegmą. Słyszę, jak zapamiętałe mamrocze przekleństwa. Nie możemy sobie pozwolić na przerwę, mam pewność, że jesteśmy już spóźnieni – pytanie tylko, jak bardzo i jak dotkliwa będzie kara.

Gdy w końcu docieramy na miejsce, udaję się prosto do gabinetu przełożonego, choć ogarnia mnie przemożna chęć, by paść na twarz, zwinąć się w pozycji embrionalnej i spędzić w ten sposób resztę dnia.

Pukam delikatnie do drzwi i wchodzę, zanim zdąży usłyszeć odpowiedź.

– Zostaliśmy zaatakowani – oznajmiam zwięźle.

Podstarzały mężczyzna unosi swą łysą głowę znad sterty papierów porzucanych na blacie biurka i mierzy mnie chłodnym wzrokiem.

– Wiem – odpowiada. – I nie wy, tylko jeden z was, gwoździ ścisłości.

Przecież to oczywiste. Mogłem się wcześniej domyślić, że cały teren Fabryki znajduje się pod nieustannym nadzorem kamer. Mimo że jeszcze nigdy żadnej nie dostrzegłem.

– Zgadza się, ale...

– Milcz – przerywa mi. – Opóźniliście dostawę.

W pomieszczeniu zapada złowroga cisza. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że szef nie toleruje nawet najdrobniejszych przewinień.

– Daruję wam to, o ile nie zająkniecie się słowem o tym incydencie. Ani na terenie zakładu, ani tym bardziej poza nim. To pojedynczy, nic nie znaczący wypadek. Mamy wszystko pod kontrolą, więc nie ważcie się nawet się nam paniki.

Ten stary sukinsyn z całych sił stara się sprawiać wrażenie opanowanego, ale mnie nie oszuka. Doskonale widzę, że nawet on sam nie wierzy w to, co mówi. Powstrzymuję się od odpowiedzi.

– Kontrolujemy sytuację, jasne?

Wypowiada to pytanie tonem nie pozostawiającym wątpliwości – mamy siedzieć cicho, albo zostaniemy uciszeni.

– Pieprz się. To wy opróżniacie kolejne szpitale i więzienia. To wy stworzyliście sobie jakąś popierdoloną hodowlę, która wkrótce wymknie wam się spod kontroli. Czemu jeszcze my mamy brać udział w tej gównianej historii?

Nie mówię tego na głos – jestem zbyt tchórzliwy. A może zbyt rozsądny.

Zamiast tego rzucam krótkie „Tak jest” i bezzwłocznie opuszczam gabinet. Nie mogę patrzeć na tego idiotę.

Wracam do hali produkcyjnej i stoję przed klatką. Patrzę w twarz jednego z Nich. W oczy, z których narkotyk już dawno wypalił resztki świadomości. Potem na lewe nozdrze i wypływającą z niego powoli gęstą, brązową wydzielinę. Przesuwam wzrokiem po szarej, pomarszczonej skórze, pod którą rysują się kształty kości. Obchodzę stalowy sześcian i wzrokiem wyławiam ze ściśniętej masy kolejne rachityczne sylwetki. Raz po raz zadaję sobie pytanie, czy te wątłe stworzenia rzeczywiście mogą stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Czy to mój instynkt mnie zawiódł, a ja wysnułem pochopne wnioski? Może ten atak w istocie był zwyczajnym przypadkiem, a teraz wszystko wróci do normy?

Wygaduję bzdury. Czy ktokolwiek mógłby być na tyle szalony, aby obecną sytuację nazwać normą? Pieprzyć to.

– Ani słowa o tym, co się dziś wydarzyło – zwracam się do stojących nieopodal współpracowników, chwytając za łańcuch.
– Bo będziemy udupieni.

Obaj mężczyźni kiwają głowami w milczeniu – decyzji przełożonego się nie kwestionuje. Ustawiamy klatkę w wyznaczonym czarno-żółtą taśmą miejscu i podchodzimy do konsoli.

Nie czuję smutku. Nie potrafię wykrzesać z siebie choćby namiastki współczucia. Oni nie są już ludźmi, a ja nie mogę Im pomóc. Nikt nie może. Dawno temu zrozumiałem, że wstrzykiwana substancja niszczy w Nich człowieczeństwo. Tracą wolę, emocje, rozum... Aż wreszcie dusza opuszcza ich zdewastowane ciała. Tak jakby już umarli.

Moim zadaniem jest tylko pozbycie się fizycznej powłoki.

Ludzkie odpady, nic więcej.

Wmawiam to sobie co dnia, jednocześnie nie dopuszczając do siebie myśli o tych setkach, tysiącach nieświadomych niczego ludzi, którzy poza murami Fabryki starają się prowadzić normalne życie, którzy nie mają pojęcia o tym, co tu się dzieje, którzy nie wiedzą, że...

Nie. Dość. Nie wolno mi o tym myśleć.

Ostatni raz spoglądam w szeroko otwarte, niewidzące oczy. Dostrzegam w nich swoje odbicie. Dostrzegam pustkę, słyszę jej zew, jej ogłuszające wycie dudniące w czaszce, czuję bolesne ukłucie zazdrości, bo wiem, że to stworzenie, będące kiedyś takim samym jak ja, zrozpaczonym człowiekiem, pogrążyło się już w błogiej nicości.

Dla niego koszmar się skończył. A przede mną jeszcze całe życie.

Bez przyszłości.

Zaciskam zęby, nie pozwalając, by szloch wyrwał się z moich ust. Ukradkiem ocieram napływające do oczu łzy i naciskam przycisk. Podłoga klatki otwiera się. Patrzę na kolejne ciała spadające bezwładnie do otworu i znikające w jednej chwili, jakby pochłaniane przez ciemną, złowieszczą otchłań. Po kilku sekundach jest po wszystkim. Nie dociera do nas żaden, choćby najcichszy dźwięk.

Rozpoczynamy kolejny kurs. Przed nami długi dzień.

**

Podczas gdy trzech mężczyzn znów ciągnie za sobą piekielnie ciężką konstrukcję, zrzucone do szybu ludzkie odpady docierają do szeregu stalowych walców, które, dokładnie miażdżąc tkanki oraz kości, zmieniają ich ciała w jednolitą mięsną masę. Ta zostaje przetransportowana dalej i uformowana w pojedyncze sztuki, które zostają zapakowane w folię i umieszczone w firmowym opakowaniu.

Widnieje na nim wyraźny, jaskrawoczerwony napis: PARÓWKI.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maru, dodano 29.06.2017 11:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.